Janina Łagoda

Corocznym zwyczajem odbyliśmy sierpniowe repetytorium z definicji solidarności, tej pisanej dużą literą oraz zwyczajnej, obiegowego użytku. Roztrząsania nad każdą z nich, to wehikuł zaklęć z przełożeniem na oczekiwania narodowej wspólnoty. Efekty okazują się skromne. Solidaryca napuszona wybiórczą świątecznością oraz wyrafinowanymi bogobojnymi frazesami, przyćmiła tę codzienną błądzącą w międzyludzkich więziach. Uroczystości dobiegły kresu. Politycy w samozachwycie wyrecytowali cnotliwe formułki i krygując się w taktach paradnych występów oraz dyplomatycznych unikach, odtrąbili ustawowy nakaz świętowania. Nie szczędzili też sobie wzajemnych uszczypliwości, choć kiedyś byli razem. Nastał dzień powszedni i wraz z nim moralne dylematy zahaczające wprost lub pośrednio o efekty tamtego ogólnonarodowego zrywu.

W tym roku obchody dodatkowo wpisały się w prezydencko-parlamentarne rywalizacje, spłaszczające tamten mit, nadając mu pozory autentyczności. Tamte lata też obfitowały w dylematy.

Upojna Solidarność

Pierwotne emocje, które stanowiły własność niemal całego narodu, także tych zasiadających wówczas na eksponowanych stanowiskach w urzędach o różnej mocy sprawczej, a dzisiaj postponowanych, zostały niejako sprywatyzowane i – upraszczając kwestię – stały się własnością, w nazwie i przywilejach, Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Solidarność (NSZZ „S”). Aktu notarialnego nie było, to tym bardziej uzurpatorskie fakty muszą być poddawane społecznemu osądowi.
W kraju jest wiele związków zawodowych dbających o godność żyjących z własnej pracy. Tworzą mniej lub bardziej skuteczne odwody, lecz zostawiają w pokoju tamten naturalny wspólny emocjonalny ruch. Unikają też politykierskich konszachtów z rządzącymi. Przecież związek zawodowy, jak by się nie nazywał, to sformalizowane przedstawicielstwo świadczących pracę, a barometrem uczciwości intencji jest kompromis związkowych postulatów i możliwości rządu. Istota tego dualizmu powinna być lekkostrawną prozą dla wszystkich, którzy odbyli elementarne nauki o społeczeństwie. Zdarzają się jednak niechlubne wyjątki.
Liczebność dzisiejszego NSZZ „S” i przejęcie imponderabiliów tamtego spontanicznego ruchu wówczas pracowniczego, ale o systemowo-politycznych ideach, nie upoważnia do

autorytaryzmu. Flagi, związkowe stroje, emblematy etc., to tylko blichtr pozbawiony głębszego przesłania. A dokładając do tego sztuczność organizowanych kosztownych manifestacji, protestów itp. wyzwala niedosyt nie tylko szczęściarzy-etatowców czy nawet śmieciówkarzy, ale także i u papierowych z nakazu przedsiębiorców (tzw. samozatrudnienie). Jeśli dzisiejszy spadkobierca dawnego oczarowania, dostrzega te problemy, to chwała mu. Wydaje się jednak, że pospolitość zachowań rzekomego sukcesora dawnego entuzjazmu rodaków pozostaje w oddaleniu od codzienności. Łączenie tamtych wydarzeń z atmosferą dnia dzisiejszego jest płaskim zabiegiem, który deprecjonuje historyczne fakty. Dość spojrzeć na postępki (prawdziwe lub nie, ale medialnie szokujące) obecnych dziedziców idei, aby żywe stało się porzekadło: nie o taką Polskę walczyliśmy. Warto więc się zastanowić nad potraktowaniem dawnego uniesienia jako wartości uniwersalnej, a nie wtłaczać ją w bieżące uzurpatorskie koneksje z wyrazistym jednostronnie partyjnym przesłaniem.
Na przywódcach NSZZ – „S" społeczne recenzje nie robią wrażenia, a losy zatrudnionych pozostają w sferze haseł. Pełno ich chociażby w wystąpieniach przedstawicieli tego Związku, którym pomyliły się konstytucyjne uprawnienia władz Rzeczpospolitej z posłannictwem pracowniczej organizacji nacisku. Doszli chyba do wniosku, że rząd niczego nie może i nic nie potrafi załatwić, dlatego usiłują przylgnąć do nowego Prezydenta RP, stawiając go w kłopotliwej sytuacji, bo jego konstytucyjne uprawnienia są jednoznaczne. To nie prezydent zawiaduje gospodarką, a tam właśnie tkwią pracownicze interesy. Czy taką związkową opcję można nazwać skutecznym działaniem? Konia z rzędem temu, kto uczciwie odpowie na to pytanie, bo politykierstwa tutaj w nadmiarze, a wyrobnicy cierpią. Związek rządu zastępować nie może, ale pertraktować z nim musi dla dobra zatrudnionych i to bez względu na przedziwność politycznych relacji.
Wszystko przez ludzi i dla ludzi, jak głosi stara sentencja. Aktywiści „S" chyba jej nie zgłębili. Tkwią w hipokryzji. Okazuje się, że nie wolno traktować Związku, w tym przypadku o przywłaszczonej solidarnościowej proweniencji, jako panaceum na wszelakie dolegliwości RP. Błąd to strategiczny. Lekceważenie rządu, obojętnie jaki by on nie był, ale zarządza państwem i usiłowanie przyspawania się do prezydenta RP jest wyrachowanym zabiegiem mającym wzmocnić emocjonalnie ważność przywódców „S", i to w momencie, kiedy aktualny rząd dobiega kresu. Polityczne wyliczenia przewodniczącego „S" są proste, jak znana z sentencji konstrukcja cepa: prezydent, to perspektywa co najmniej pięciu lat; rząd z chwilą zakończenia parlamentarnych wyborów upada, a to koniec października 2015 roku. Nastanie inny, a może i ten sam i co wówczas? Dla kalkulacji o takich parametrach zbędny jest wysublimowany umysł. Przewodniczący „S" ma chyba z tym kłopoty. Upaja się przedołtarzowymi aroganckimi mowami, groźbami, tłumaczeniami się z medialnych zarzutów, co do rzekomo marnotrawnego trybu życia na koszt Związku itp., zapominając o subtelnościach powierzonej mu misji. Trybunowymi mowami niewiele można uczynić dla dobra kraju; co najwyżej podgrzać umysły komilitonów i rozdrażnić jaźń tych, którzy egzystują w niegodziwych warunkach. Czy były komandos to zgłębił, a może nadal buja w obłokach na co sugeruje spadochroniarska odznaka w klapie jego garnituru.

Wycinek historii
Solidarność lat 80. doczekała się wszechstronnego opisu, ale co dnia jest wzbogacana nowymi faktami, które w natłoku tamtych zdarzeń pozostawały w cieniu. Dzisiaj są warte naświetlenia, bo dopełniają malatury owego pospolitego poruszenia. W tym wszystkim ważne jest wyciąganie poprawnych wniosków, bo to fragment historii wszystkich Polaków. Tamto ożywienie ogarnęło

cały kraj. Nie tylko tych, którzy zawładnęli wówczas stoczniami, kopalniami czy innymi zakładami pracy. Udzieliło się rolnikom, nauczycielom, medykom, studentom, jak i tym, którzy wówczas ponosili odpowiedzialność za ład i porządek w kraju oraz obronę naszych granic. Tam też duch Solidarności porażał.
Z jednej strony na tych ostatnich spoczywał obowiązek sterowania państwem, a więc wypełniania powinności wobec obywateli i kraju, co nakazywała konstytucja, jak i międzynarodowe umowy. Z drugiej zaś nie pozostawali obojętni na atmosferę ogólnonarodowego zrywu. Stanęli na rozstajach. Zatrzymanie pracy urzędów i podjęcie przez nich protestu (wobec kogo?) byłoby równoznaczne z niekontrolowanym rozwojem wydarzeń, a w konsekwencji tragedią. Dlatego też obrano kurs na porozumienie. Rezultatem tego stały się szczecińskie, gdańskie, jastrzębskie, a za nimi inne ugody, które trwale wpisały się w historię Rzeczypospolitej. Ten fakt formalnego konsensusu, jest obchodzony począwszy od 2005 roku, jako Dzień Solidarności i Wolności (31 sierpnia).
Znaleźliśmy się więc w jakimś bliżej niezidentyfikowanym wehikule o emocjonalnym napędzie, zatrzymującym się tylko na wybranych stacjach patriotycznych uniesień, mających podkreślać naszą narodową solidarność i umiłowanie wolności, a więc te cechy, które są nieodzowne w codziennym tworzeniu niezniszczalnej opoki dla funkcjonowania szczęśliwego społeczeństwa w dowolnym czasie oraz miejscu. Dotarliśmy więc do wartości wspólnych, a ich próby zawłaszczania są bliskie kradzieży praw autorskich.

Pojęciowe odświętne dylematy
Solidarność to postawa moralna zakładająca zgodność poglądów w określonej dziedzinie. Chodzi więc o wzajemne wspieranie się osób, ugrupowań etc. wokół reprezentowanych zapatrywań. Bliskie to spolegliwości, terminu użytego przez prof. Tadeusza Kotarbińskiego (1886-1981) w jego pracach o dobrej robocie, czyli o skutecznym działaniu (prakseologia). Skrótowo chodzi więc o wspólne zaufanie, życzliwość, wrażliwość itd. Te przykładowo wyliczone przymioty składają się m.in. na ogólne pojęcie solidarności społecznej, co ważyło na elementarnych cechach owej narodowej fascynacji lat 80. Wówczas były to czyny, których istotę można wprawdzie mierzyć różnymi sposobami, ale dzisiejsze nawiązywanie do tamtych dni, to w zasadzie odmienianie słowa solidarność przez wszystkie przypadki, tworząc mało klarowne mazidło. Jest to raptem hasło rzucane w przestrzeń publiczną bez praktycznego oprzyrządowania, ale obliczone na emocjonalne wypełnianie urn wyborczych. Konsekwencji tego permanentnie doświadczamy.
Generalizując, solidarność społeczna, to tworzenie wspólnego dobra równo dostępnego dla wszystkich, którzy budują, ale i doświadczyli jakiejś niesprawiedliwości, nieszczęścia itp., a teraz potrzebują wsparcia i pomocy. Dotyczy to nie tylko tzw. opozycjonistów, ale i ich dawnych oponentów. Gest tolerancji, to skuteczne narzędzie pod warunkiem, że zna się instrukcję jego obsługi. Dzisiaj obserwujemy zjawisko nieco inne, bo społeczeństwo jest bardziej skłonne do podejmowania spektakularnych, żywiołowych, odświętnych aktów solidarności społecznej o niewielkim praktycznym wymiarze, niż zagłębiać się w uniwersalne przesłania. Telewizyjno-radiowo-prasowe, ale i blogerskie zwarcia politycznych etatowych komentatorów jedynie pogłębiają rozterki. Przecież kilku mędrców nie rozwiąże historycznych zawiłości ani współczesnych dylematów. Groza deprecjacji wiedzy o dziejach Polski u wielu z nich jest przeogromna, ale usiłują wypełnić nią przestrzeń publiczną, bo nie mają pomysłu na kreowanie przyszłości, a to jest przecież jedyne zadanie dla polityka. W innych państwach nie jest znane pojęcie polityki historycznej, lecz u nas to powszechne zaklęcie, zaś polityk i historyk, to różne

profesje.
Wolność, drugi człon oznajmiający to święto, kojarzy się najczęściej z brakiem przymusu, ze swobodą w przyjmowaniu dostępnych opcji, likwidacją ograniczeń ze strony władz, ale i określaniem formuły zabezpieczania praw intelektualnych, pracowniczych, bytowych itd. Wolność można też traktować jako wybór pomiędzy dyktaturą rządu, a dyktaturą spiskowców, co zauważył J. Donoso Cortes (1809-1863), hiszpański pisarz i dyplomata, autor m.in. eseju o socjalizmie. Ale są też chwile, gdy wolność dzwoni kluczami dozorców (St. J. Lec, 1909-1966). Tak na dobrą sprawę nie wiadomo o jaką definicję wolności nam idzie. Czy przykładowo chodzi o platońską, gdzie wolność jest dobrem, w którym dusza chce uczestniczyć, czy o kartezjańską z jej zawołaniem, że jest źródłem swobody człowieka; czy egzystencjalną, wedle której człowiek jest skazany na wolność.
Z wyborem mamy problem i najczęściej dryfujemy ku sarmackiej anarchii. Tych filozoficznych roztrząsań można przytoczyć wiele. Rzecz w tym, jaka koncepcja przyświecała inicjatorom wyznaczenia dnia jednoczesnego czczenia w sposób szczególny i solidarności i wolności. Tego nie wiemy. Natomiast z wystarczającą dokładnością można określić moment, kiedy to solidarnościowo - wolnościowe więzy zaczęły się rozluźniać. Stało się to po czerwcowych wyborach roku 1989 (czyt. plebiscycie), kiedy upojono się polityczną demokracją i procesem tzw. liberalnego urynkawiania gospodarki. Wówczas niemal rewolucyjny, w chaosie poczęty, podział dóbr narodowych, przynależnych do PRL, wywarł zgubne piętno na wyidealizowanym pojęciu wolności i solidarności społecznej. To w tamtym czasie należy doszukiwać się nieszczęść dnia dzisiejszego. Degradacja owych wzniosłych haseł trwa nadal. Ekonomiczno-społeczne przekopy pogłębiają się. Raptem dla sprawujących władzę obca stała się refleksja o tym, jak żyją inni, którzy nie ukradli miliona złotych i w czym mogą im pomóc rządzący. Odświętnie wygłaszane gładkie przemówienia dostatku nie tworzą. Nie każdego stać na godziwe mieszkanie i wyczynianie na koszt państwa łóżkowych fanaberii z umiłowanym psiakiem – z całym szacunkiem dla troski o te i inne stworzenia. Wprawdzie nie ma o tym mowy w 21. gdańskich postulatach, ale niewiele z nich zrealizowano, bodaj dwa: wolne soboty i transmisje mszy świętych. Zatem przed kierownictwem NSZZ „S” ogrom pracy, a nie zapowiedź pieniackich procesów. Tego mamy pod dostatkiem, zaś chleba nie dla wszystkich starcza. Nie znajdzie się go też na warszawskim bruku nawet podczas zapowiedzianych wyrafinowanych manifestacji w wykonaniu organizacyjnie umundurowanych związkowych żołnierzy. Źródła pracowniczego dobrobytu, to solidna robota i sprawiedliwy, na miarę obywatelskich cnót, podział jej efektów. Do szefów związku zawodowego o solidarnościowej proweniencji nie dociera to, że wówczas wystrajkowali kapitalizm, a teraz z nim walczą, budząc klasyków jego krytyki. Może ponownie zmierzają ku socjalizmowi z czego nie zdają sobie sprawy?

Propagandowy wymiar święta

Wydaje się, że nie idzie tutaj o definicyjne formułki, ale o to, aby znaleźć pretekst do honorowania tych, którzy w warunkach nie do końca suwerennego państwa, gwałcącego prawa człowieka dawali świadectwo wolności i wierności idei polski niepodległej i podejmowali walkę o przywrócenie praw obywatelskich i pracowniczych, ale i dla dobra tych, którzy położyli kres komunistycznemu zniewoleniu, co odnotowano w uzasadnieniu ustawy o fetowaniu Solidarności. Są to raczej sformułowania konfrontacyjne, a nie spolegliwe. Na marginesie pozostała cała reszta społeczeństwa, która nie tylko odbudowywała kraj po wojennej zawierusze, ale dla poprawności funkcjonowania państwa i bytu narodu musiała wpisywać się w pojałtańskie paradygmaty przyziemnych rozwiązań. Ta rzesza ludzi nie ma praktycznie

przyzwolenia na uczestniczenie w tym święcie, a była stroną owych pojednawczych aktów sprzed 35. lat.
Założeniem przy stanowieniu świąteczności była chęć szczególnego wyróżniania rzekomych bojowników, ale i wmawiania po raz kolejny Europie i światu, że te solidarnościowe wydarzenia zapoczątkowały przełom w historii krajów pojałtańskiego podziału. Ponoć bez polskiego Sierpnia i wcześniejszych zrywów nie obalono by muru berlińskiego i nie byłoby zjednoczonej Europy. Rodzima Solidarność, aczkolwiek z namaszczenia robotnicza o niezłych umiejętnościach zawodowych i technicznym oprzyrządowaniu, nie miała nawet fizycznego udziału w rozbiórce owego muru. Na destrukcji wprawdzie znamy się nieźle, lecz w tym przypadku mur zdemontował intelekt tych, którzy prowadzili i nadal zarządzają polityką globalną. A do nich nam zawsze było i jest daleko. Przykład, to chociażby konflikt ukraińsko-rosyjski, gdzie przez chwilę, pozornie byliśmy najważniejszymi rozjemcami. Dzisiaj nas usadowiono w odległym rzędzie teatrum głównych wydarzeń. Także nasz stosunek, ten urzędowy oraz człowieczy do uchodźców syryjskich nie przynosi chwały, mimo głoszenia solidarnościowych zaklęć. Klasycznie zapętliliśmy się w niedorzecznym węźle społecznych animozji. Do pierworodnej solidarności droga daleka i wyboista.
Mesjanizm nigdy rodaków nie opuszczał. Jest to nasz filozoficzny patent, ale trudno przyswajalny przez międzynarodowe otoczenie. Zdaje się, że wszyscy o tym wiemy, ale czego nie czyni się dla słupków wewnętrznego elektorskiego poparcia. A nuż załapie, jak mawiał barejowski gospodarz domu. I załapuje. Jesteśmy pod urokiem własnych fantazyjnych myśli, zaś każda – nawet subtelna uwaga z zewnątrz powoduje niewyobrażalny gniew na świat cały. Nie możemy sobie wmawiać, że jesteśmy nadzwyczajnym narodem, bo w ten sposób obrażamy innych, którzy także posiadają własną godność i szlachetne spojrzenie na nurtujące ich problemy, ale – jeśli już – to eksponują je w wyważonym stylu. Skromność jest darem.

Świętować czy w dystansie obchodzić?
Nad prawie jednomyślnością Sejmu RP stanowiącego o owym święcie zaważyły chyba emocje i to te, które optują za zerwaniem historycznych więzi z poprzednim systemem. Utopia? Chyba tak, bo przecież nie sposób wymazać żadnego z rozdziałów historycznego trwania Rzeczpospolitej, a to tysiącletnia historia, wpisująca się w dzień dzisiejszy. Zdaje się, że autorzy tego kuriozum znaleźli się w pułapce. Usiłują wykarczować PRL z pamięci narodu, ale ustawicznie odwołują się do tego rozdziału wspólnych dziejów. Zresztą tam ich rodowe korzenie, od których nie sposób się odciąć. Sami przecież mają wiele do zawdzięczenia ludowemu systemowi. Skąd raptem pojawiło się u nas tylu Pawlików Morozowów? Efekty takich zachowań nie zmieniają systemów politycznych, a co najwyżej demolują normy moralne macierzystego społeczeństwa, nie wspominając o międzynarodowych opiniotwórczych refleksach.
Opozycyjny rodowód święta został dodatkowo podcyfrowany ustanowionym w 2010 roku Krzyżem Wolności i Solidarności. W praktyce stanowi nagrodę niemal zastrzeżoną dla działaczy dawnej tzw. opozycji. Wszystko więc dzieje się w zaklętym kombatanckim kręgu. Wnioski o wyróżnienie są filtrowane przez prokuratorski Instytut Pamięci Narodowej (IPN), który i w tym przypadku również nie może się obyć bez dokumentacji, ale interpretowanej na swój polityczny sposób, pozostawionej przez agendy PRL. Nie da się więc zamazać tego rozdziału naszej państwowości. Zresztą niemal całe podstawowe tworzywo owej prokuratorsko - badawczej Instytucji pochodzi z urobku PRL-owskiej administracji, która funkcjonowała w oparciu o konstytucyjne reguły. Zatem dezawuowanie tamtych lat stoi na kruchym fundamencie,

a zapał wielu destruktorów trafia w powietrze, a nie w tworzenie codziennej obfitości. Szkoda!
Sklejając Dzień Solidarności i Wolności z Krzyżem Wolności i Solidarności (toporna gra słów) dochodzi się do wniosku, że obydwa symbole mają niewiele wspólnego z solidarnością społeczną i wolnością obywatelską. Te świąteczne imponderabilia są raczej bliższe segregacji społecznej i ograniczaniu wolności jednostki, niż sprzyjaniu solidarnościowym ideałom. Zastanawia też to, że w ponoć demokratycznym państwie rządzący tworzą w tak prostacki sposób pokaźne zastępy wykluczonych. I w tym punkcie warto rzucić mniej zastygłym, a bardziej giętkim okiem na praktyczne reguły stosowane w poprzednim systemie, który nie był naszym pomysłem, ale godnie sobie z nim radziliśmy. Inteligencja rodaków pozwalała wówczas sublimować stosunki społeczne. Starczy spojrzeć chociażby na artystyczne, ale i na te badawczo – naukowe, a także gospodarcze sukcesy. Niwelowano również wojenne i powojenne polityczne podziały narzuconych ideologicznych opcji. Przykładowo nie przemilczano ofiarności polskiego żołnierza walczącego u boku zachodnich aliantów. Może proporcje niekiedy były nieco zachwiane, ale dzisiaj w rocznicowych oficjalnych zadęciach nie sposób usłyszeć o krwawych ofiarach tych spod Lenino, czy zdobywających Berlin. Monte Cassino, Tobruk, brytyjskie dywizjony lotnicze itp. stanowią poprawność w recenzowaniu naszego poddaństwa wobec zachodnich sił, które pozostawały w tamtych czasach w kordialnych układach z Kremlem. To przecież z tamtych kontraktów pochodził powojenny kształt RP, a najmniej do powiedzenia mieli polscy żołnierze wspomagający politykę trzech globalnych aliantów. Teraz ci polegli i jeszcze żyjący poddawani są segregacji wedle doczesnych kryteriów polityką upstrzonych. Współczuć należy owym naiwnie interpretującym słowo wolność i nierozważnie rozdzielających pokłony oraz ciosy niektórym ówczesnym wielkim aliantom, którzy i dzisiaj żyć bez siebie nie mogą. Nadal więc aktualny pozostaje tekst piosenki A. Boguckigo, będącą przebojem chóru Czejanda.
Spoglądając racjonalnie na nasze niedawne losy i abstrahując od innych okoliczności, dojść można i do takiej refleksji, że tamten solidarnościowy gniew winien być w zasadzie skierowany przeciwko Wielkiej Trójce, a nie li tylko w stronę warszawskiego białego domu (b. siedziba KC PZPR) i Kremla. W takiej to może retrospekcji należałoby postrzegać tamtą rzeczywistość. Najłatwiej bić na odlew najbliżej stojących, mimo ich dorzecznych intencji w tamtych politycznych realiach.

Co my świętujemy?

Dzień Solidarności i Wolności w zamyśle jego inicjatorów jest upamiętnieniem rocznicy porozumień sierpniowych, zawartych pomiędzy tzw. komunistyczną władzą, a przedstawicielami robotniczych solidarnościowych komitetów strajkowych utworzonych z woli ludu.
Dzisiaj problem polega na tym, że w polu widzenia świątecznego pensjonarskiego krygowania się, pozostała tylko jedna strona składająca cyrografy pod wspólnymi aktami. Z domniemań wynika, że druga strona tzw. państwowa była efemerydą, której cielesności nie sposób oznaczyć, a w dzisiejszej propagandzie niezmiernie trudno dostrzec ich długopisowe ślady na, bądź, co bądź, wspólnych dokumentach. Chyba ich odszukanie pozostawiono archeologom, kryminalistykom, historykom etc. Dla ułatwienia jeden z dowodów pozostaje w Jasnogórskim Skarbcu. Takie zachowania dodatkowo osłabiają solidarnościowe więzy. A mogło być przyzwoicie.
Z corocznego ustawowego nakazu świętowania wynika, że to, co wówczas się stało było wyłączną zasługą ówczesnych przywódców Solidarności, którym dzisiaj trudno przyznawać się

do tego, że świadomie knowali z komuną. Racjonalizm podpowiada, iż innej drogi nie było. Gdzie się więc podziała solidarnościowa odwaga? Z dzisiejszej perspektywy pozostaje zaledwie jednostronny koncert zwycięstwa. Wystarczy przykładowo spojrzeć na listę zapraszanych gości z tej i innych okazji na prezydenckie, bądź premierowskie salony.
Trzeba było przeżyć i ten świąteczny dzień, bo wyboru nie było, z całym balastem wzniosłych przemówień, medalowania rokoszan, okolicznościowych festynów, świątobliwych obrządków etc. Triumfalizm tzw. zwycięzców wobec tych, co wówczas również szanowali jedyną Ojczyznę, jaką nam dano, jest przeogromny.
Utrata państwa jest tragedią, ale kolejne wyznaczanie jej ram, przez możnych tego świata też nas nie satysfakcjonuje. To nieuleczalna choroba do szczętu niszcząca instynkt samozachowawczy. Dlatego też, każdy z rządzących, zwłaszcza o tzw. opozycyjnym biogramie musi brać pod uwagę losy Rzeczpospolitej na przestrzeni dziejów i zaprzestać kopania transzei wykluczeń w obrębie własnego państwa. Wydaje się, że takie przesłanie winno przyświecać owemu Świętu. Należy wreszcie pojąć, że rozwarcie jałtańskiej strefy wpływów, to nie polski wynalazek, lecz spadkobierców trójprzymierza (Gorbaczow, Reagan, Thatcher). Nasze wolnościowo-solidarnościowe zachowania, to tylko jeden z komponentów europejskiej politycznej mikstury, a nie wszechmogący patent, powalający globalistów. Gdzieś się zapodział realizm i skromność również.
W takiej to retrospekcji należałoby postrzegać tamtą rzeczywistość. Syntezą dobrych zapowiedzi był Okrągły Stół, a po nim wybór komunistycznego prezydenta i desygnowanie przez niego, niekomunistycznego premiera, a także udział komunistów w niekomunistycznym rządzie; później odwrotnie itp. Dzisiaj tamte osoby znaczące zarówno w PRL-u, jak i w następnej RP są postponowane. Gorzej, bo niektórych stawia się przed sądem, a w okolicach świątecznego dnia gdzieś się zawsze zapodziewa idea solidarności i wolności. Sprowadza się ją do prozaicznych kombatanckich zachwytów nad uciążliwościami bycia w konspirze, ale jak się okazuje tolerowanej, a niekiedy i pielęgnowanej przez dawne władze. IPN stroni od tych faktów, ale i rządzący również, nie szczędzą narodowego grosza na realizowanie faktur wystawianych przez tzw. solidarnościowych bojowników o powtórkę z kapitalizmu. Płaci za to budżet wolnej Polski. Kolejny to paradoks w naszej historii, kiedy to ideowe wiarusy bez skrupułów domagają się zaległego żołdu od tych, w imię których, ale i swoim rzucali się na barykady, które bez ich udziału zostały zmiecione przez obce mocarstwa. Materialnie fakturowane czynów konspiracyjnego bohaterstwa nie mieści się w dotychczasowej skali rodzimego patriotyzmu. A może to kolejny światowy unikat. Owe potencjalne odszkodowania po roku 1918 i 1945 opiewały co najwyżej politycznym dostępem do sprawowania władzy. Honorowo zachowali się przykładowo bojownicy zwycięskiego, ponad wszelką wątpliwość, Powstania Wielkopolskiego. Czyż dzisiaj godzi się więc tę wybiórczą solidarnościową wolność dodatkowo obciążać fiskalnymi paragonami? Nie spłaszczajmy ideałów, przysypując je merkantylizmem, bo zaczyna to przypominać istotę wojsk zaciężnych w unikatowej krajowej aberracji.
W emocjonalnym zadęciu atakujemy i pouczamy tylko jednego z globalistów, tj. Rosję, miast z nią, jako granicznym sąsiadem, prowadzić intensywną wymianę gospodarczą, kulturalną, sportową, załatwiać inne korzystne dla nas interesy, także w międzynarodowej politycznej skali (vide: USA, Wielka Brytania, Francja, Niemcy etc.), to wpisujemy się na proskrypcyjną listę politycznych przeciwników o irracjonalnej argumentacji. Tak postępujemy chyba tylko dlatego, że dawna kremlowska komunistyczna władza, w porozumieniu ze swoimi odwiecznymi partnerami zrezygnowała z nadrzędności nad nami i bez rozlewu krwi zaordynowała Polsce

wolność. To nam chyba nie zaimponowało. Minęły bezpowrotnie czasy hetmana koronnego Stanisława Żółkiewskiego, który po wojennych bataliach i politycznych negocjacjach usadowił na kremlowskim tronie, syna króla Zygmunta III. Było to dawno i trwało krótko, ale ambicje pozostały i one chyba napełniają rusofobiczną atmosferę. Rok 1920 nieco retuszuje niedosyt dzisiejszych władców. Zawsze to jakaś promocja doraźnie przydatna, ale nie prowokujmy innych. Sukcesy mogą mieć różne odcienie. Warto więc niekiedy pochylić się nad Rzeczpospolitą i urealnić składane wobec niej gesty.

Betonowanie idei

W przeróżnych osądach absolutu tamtego solidarnościowego ruchu społecznego, może i dobrze się stało, że usiłuje się go zasklepić w muzealnej bryle, której architektoniczny kształt przypomina niedokończony kadłub statku, posadowiony w bliskości martwego dzisiaj stoczniowego sąsiedztwa, gdzie wówczas wszystko się zaczęło. Prowokacja, znak czasu, a może okrutna rzeczywistość będąca efektem żywiołowych przeobrażeń na miarę naszego romantyzmu?

Dorobiliśmy się więc kolejnej budowli, tj. pomnika o symboliczno-propagandowym wymiarze, gdzie zdeponowano ideę solidarności, a więc kategorię moralną, która wprawdzie stanowiła fundament założycielski solidarnościowego ruchu lat 80., jednak nie wypełnia bezbrzeżnie szlachectwem umysłów wszystkich Polaków. Oczekiwania były różnorakie, i nie zawsze zespalały się z abstrakcyjnymi zawołaniami.

Miast przywrócić żywotność zrujnowanej stoczni, wybudowano w jej pobliżu kosztowny symbol upadłości, bez przełożenia na zwyczajną ludzką solidarność. Aby podkreślić niezwykłość pomysłu nazwano ten materialny kształt Europejskim Centrum Solidarności (ECS). Wizję zaaprobował ówczesny przywódca stoczniowego strajku, który teraz w ekskluzywnych okolicznościach (posiada tam swoje okienko) i bagażem imponderabiliów spogląda na zrujnowany, także przy swoim udziale stoczniowy naprawczy warsztat wózków akumulatorowych, dawne źródło jego i rodziny utrzymania. Pancerna to wrażliwość w stylu: ja sobie poradziłem, to i innych też na to stać. Zapomnienie o tych, którzy wsparli karierę łatwo przychodzi, ale winno pozostawiać moralny dyskomfort. Stało się to chyba obce dla dzisiejszej ikony tamtych lat. Kolejny powód, aby klasykę solidarności w bryle zasklepić, a klucze dostępu przekazać we władanie solidnym historykom, uwolnionym od partyjnych nawisów.

Nie bylibyśmy sobą, żeby tej budowli nie przypisać miana pierwszego na świecie Muzeum Solidarności. Ciekawość jednak wzbudza to, które z państw odważyłoby się ową szlachetną cechę człowieka aresztować w niedokończonym statku bez nawigacyjnych szans. Nasza inwencja jest rozbrajająca, ale niezbyt naturalnie trafia do wyobraźni, nawet solidarnościowo przychylnych Polaków.

Z pietyzmem dbamy o megalomański i propagandowy wymiar fanaberii, które z oficjalnych założeń winny być skromne. Rzeczywistość pisze zazwyczaj inne scenariusze. I w takiej to oto oprawie moralne paradygmaty Solidarności zostały zacumowane u nabrzeża Zatoki Gdańskiej. W tym złożonym procesie nadal najważniejszymi pozostają międzynarodowi globaliści, także ci z dawnych lat. Oni nic nie stracili na swojej mocarstwowości. Są moderatorami, także polskich spraw. Powraca więc problem równoważenia tamtej idei z dzisiejszą praktyką. Nie wstydźmy się tego i nie zasklepiajmy się w zaścianku.

Spadkobiercy

Pamiątek po dawnej Solidarności mamy wiele. Są rozsiane po całym kraju i to bez

powszechnego zamiaru ich przenoszenia do Gdańska. Fascynacja nimi jest zróżnicowana, ale tłoku przy podziwianiu nie ma. Jeśli ktoś odczuwa potrzebę zgłębienia tajemnic Solidarności, to nie musi trafiać w aż tak wyrafinowanie ekskluzywne miejsce. ECS wyrosło chyba po to, aby stworzyć posady i sprzyjać kombatanckim spotkaniom. Pierwsza jaskółka tego zamysłu, to uroczystość jego otwarcia. Wśród gości nie sposób było wypatrzeć tych, z którymi ówczesna Solidarność musiała paktować. Jest to skrzętnie skrywane. Hipokryzja, zapomnienie, zwykłe przeoczenie, a może już na zawsze rozstaliśmy się z tą cnotliwą, lecz nadal unikatową cechą, zdefiniowaną jako rodzimą solidarność?
Na pierwszy rzut oka ECS stanowi polityczną afirmację tego wszystkiego, co czynili bojownicy o tzw. wolną Polskę i to we własnym kraju, a więc w miarę w bezpiecznych relacjach. Znakomita większość społeczeństwa aprobowała status naszego państwa po 1945 roku, mimo że karmiła się octem w otoczeniu pustych sklepowych półek. Na tej odżywce wyrosły jednak zastępy znamienitych obywateli, ale także rokoszan i to wcale nie o tandetnych posturach. Wydaje się, że interaktywny muzealny obiekt to kolejny przyczółek niwelowania PRL, a w połączeniu z IPN, podsyca rozdwojenie jaźni, wbijając klin w jedność rodaków wbrew solidarnościowej definicji tego ruchu.

* * *

Nie deprecjonujmy solidarnościowego uniesienia tamtych lat, ale nie czyńmy z tego narzędzia spełniania wyrachowanych jednostkowych ambicji, lecz użyjmy je dla poskromienia naszego fantazyjnego snu o mocarstwowości. Budowanie i kruszenie solidarnościowych fundamentów, to takie nasze swoiste perpetuum mobile.
Smutnym etalonem dla rodaków zapewne były rocznicowe obchody święta solidarnościowej erupcji. Jeśli dzisiaj w wyniszczających szrankach stanęli sami jej inicjatorzy i późniejsi apologeci solidarnościowego poruszenia, to czego oczekiwać od większości narodu? Iluzjonista też wyrzuca królika z szapoklaka ale jest to ulotne oczarowanie i o magię idzie. Może się okazać, że za chwilę każdy z animatorów tamtego rozdziału historii będzie ją celebrował wedle własnej liturgii. Polityka zamazywania niewygodnych faktów pogłębia podziały, rozrywając międzyludzkie więzy, użyźniając już tak urodzajną glebę egoizmu. A to na pewno stanowi przeciwwagę dla solidarności społecznej. Świat, ale przede wszystkimi rodacy to recenzują. Niechaj politycy RP zachowają umiar i omijają rozstaje.

Janina Łagoda